

**Michał Rusinek**

Katedra Teorii Literatury, Uniwersytet Jagielloński

## **Jak (sobie) radzić? Uwagi czytelnika poradników**

W fenomen porad wszelkiego rodzaju wpisany jest jakiś paradoks: z jednej strony, nie lubimy, gdy ktoś ich nam udziela, zwłaszcza gdy o nie nie prosimy. Z drugiej — masowo kupujemy poradniki i poszukujemy porad w Internecie. Być może dlatego, że porada jest towarem intymnym, jak gadzety erotyczne. Przyznanie się do tego, że go potrzebujemy, jest zarazem przyznaniem się, że czegoś nam brakuje — w życiu erotycznym lub w każdym innym aspekcie życia. Internetowe sklepy oferujące gadzety erotyczne zaznaczają, że zamówiony u nich towar zostanie przesłany w dyskretnym opakowaniu: ani kurier, ani sąsiedzi nie dowiedzą się, co kupiliśmy, więc nie będziemy się musieli tłumaczyć. Półki księgarniane wprawdzie uginają się od poradników, ale umieszczone są nieco z boku, byśmy mogli dyskretnie je przeglądać, nienarażeni na wścibski wzrok innych klientów czy pracowników księgarni. No bo jak się czuje mężczyzna nakryty na wczytywaniu się z wypiekami na twarzy w poradnik, jak być prawdziwym mężczyzną? Jak mężczyzna nieprawdziwy! Taki gest jest przyznaniem się do tego, że czegoś mu brakuje, że chciałby być kim innym, że inni (inne?) nie są z niego zadowoleni.

Rady się daje, a częściej (czy raczej: poprawniej) rad się udziela, tak jak udziela się na przykład pożyczki. Rada zawsze jest dobra; nie istnieją złe rady, choć mogą być nieskuteczne, a nawet szkodliwe. Rada jest swego rodzaju walutą w handlu wymiennym. Ten, kto udziela rad, jest jak bank, jak instytucja mająca wiedzę lub doświadczenie. Jeśli ktoś nas zapewnia, że damy sobie radę, zarazem zakłada, że owej waluty mamy tyle, że nam wystarczy w danej sytuacji. Dawanie sobie rady przypominać może wewnętrzny monolog. Jest ono korzystaniem z tego, co wiemy od innych; co niegdyś było cudzą radą, ale zostało przez nas przyswojone. Albo inaczej: dawanie sobie rady jest jak korzystanie z magicznych przedmiotów lub raczej magicznych mocy otrzymanych w czasie grania w przygodową grę komputerową. Choć to tylko (aż?) gra słów.

Rada jest podobna do komplementu: dostajemy ją, często nie prosząc o nią, musimy za nią zapłacić podziękowaniem. Rada jest jednak przeciwieństwem komplementu: zawiera sugestię — lub insynuację — że czegoś nam brakuje. Rad udziela osoba zaradna (wyposażona w stosowną ilość rad) niedoradzie (czyli osobie „niedoradzonej”). Ten, kto nieproszony udziela rad, sytuuje się wyżej niż ten, komu jej udziela, narzuca tym samym relację protekcyjności. Prosząc o radę sytuujemy

się w tej pozycji sami, komplementując zarazem tego, kogo o nią prosimy. Dajemy przy okazji do zrozumienia, że mamy do niego zaufanie, jakbyśmy powierzali mu jakąś swoją tajemnicę. Przyznajemy się, że brakuje nam czegoś, czego mu nie brakuje. Ale im więcej czasu poświęca nam na radzenie, tym bardziej skomplikowana staje się sytuacja: przecież zamiast radzić, mógłby robić użytek z wiedzy lub doświadczenia, którymi się z nami dzieli. Stąd przeświadczenie, że radzi ten, kto sam nie umie robić z nich użytku, że na przykład poradniki, jak pisać kryminały piszą ci pisarze, którym nie udało się zrobić kariery jako pisarzy kryminałów. Bo gdyby im się udało, to nie marnowaliby czasu na pisanie poradników, tylko pisaliby kryminały.

Rady mają charakter przechodni. Przekazujemy je przecież z pokolenia na pokolenie. Jeśli tego nie robimy, nadwątlamy rodzinne więzi. Rada bywa rodzinnym majątkiem, często jedynym. Rada jest rodzinną formą komunikacji, często jedyną. Do niedawna rady udzielane były wyłącznie młodszymi przez starszych, od niedawna — także odwrotnie, bo przecież młodsi często lepiej rozumieją nowoczesny świat, na przykład nowe technologie. Ale też właśnie owe technologie bywają powodem zakłócenia komunikacji. Nie, nie dlatego, że starsi nie chcą przyjmować rad od młodszych, protestując przeciwko odwróceniu kierunku przepływu informacji, ale dlatego, że technologie pozwalają lepiej komunikować się na odległość, a więc nie z tymi, którzy siedzą z nami przy stole, ale z tymi, którzy siedzą przy innych stołach, przed swoimi smartfonami czy komputerami. Jeśli więc jesteśmy w potrzebie, to nie prosimy o radę najbliższych, bo zatraciliśmy umiejętność rozmowy z nimi. Zamawiamy w sieci poradniki lub pytamy o radę Google'a. Stąd popularność poradników i rosnąca częstotliwość wpisywania do wyszukiwarek fraz rozpoczynających się od słowa „jak”, będących rozpaczliwymi prośbami o radę.

\*

Rosnąca popularność i ilość drukowanych poradników może być dowodem na naszą rosnącą ciekawość świata i chęć coraz lepszego zrozumienia samych siebie. Ale to wersja optymistyczna, bo zawsze możemy zapytać, czemu wiedzy o świecie czy nas samych nie chcemy czerpać z literatury popularnonaukowej, która do tego przecież służy. Może po prostu jesteśmy coraz mniej pewni siebie? Może nie umiemy już nikogo z bliskich po prostu zapytać, jak żyć? Może desperacko chcemy być kimś innym? Może rozpaczliwie szukamy odpowiedzi na pytania w poradnikach, bo zawiedliśmy się na podręcznikach?

Starożytni Grecy mieli dwie nazwy na wiedzę: *episteme* i *doksa*. Albo inaczej: starożytni Grecy odróżniali wiedzę naoczną i naukową (czyli *episteme*) od opinii czy mniemania (czyli *doksa*). Poradniki to królestwo mniemania. Rzadko bowiem opierają się one na wiedzy naukowej; owszem, bywają jej uzupełnieniem, ale bywają też zaprzeczeniem. Uzupełnieniem są wtedy, gdy proponują na przykład

alternatywne metody leczenia i trudno śmiertelnie chorego człowieka, któremu medycyna (czyli *episteme*) nie ma już nic do zaoferowania, winić za to, że sięga do poradników, by znaleźć alternatywne i niesprawdzone naukowo metody leczenia. Tonący poradnika się chwyta. Zaprzeczeniem są wtedy, kiedy ta brzytwa okazuje się większym niebezpieczeństwem od samej wody.

Nieprzypadkowo podaję ten przykład, bo poradników, jak się leczyć, znaleźć można mnóstwo, może w ogóle powstaje ich najwięcej ze wszystkich (zapewne obok poradników, jak schudnąć). Najczęściej pojawiającym się w nich słowem jest przymiotnik „alternatywny”, czyli zawierający inne niż uznane przez naukę podejście. „Alternatywny” zawsze dotyczy wiedzy rozumianej jako *doksa*, a zatem sformułowanie „medycyna alternatywna” czy „nauka alternatywna” jest wyrazem pomieszczenia dwóch rozdzielnie rozumianych niegdyś porządków: *episteme* i *doksa*. W ogóle kiedy wiara w rozum przygasa (z różnym powodów), a ostatnio to się jej zdarza coraz częściej, *doksa*, przebrana za *episteme*, święci tryumfy jako „fakt alternatywny” czy „postprawda”.

W średniowieczu — o czym pisał chociażby Michel Foucault (2000) — ludzie przekonani byli, że świat jest pełen znaków, którymi Bóg do nas mówi. Znaki opierały się na relacji podobieństwa: „świat zataczał krąg wokół siebie — ziemia powtarzała niebo, twarze odbijały się w gwiazdach, a zioła kryły w łodygach służące ludziom sekrety” (Foucault, 2000, s. 40). Skąd mieliśmy wiedzieć, jaka roślina do czego służy? Otóż stąd, że kształtem przypominała organ, który miała leczyć. I tak sobie leczyła, aż przyszło Oświecenie i zastąpiło proste i czytelne dla każdego podobieństwo jakimś skomplikowanymi i zrozumiałymi tylko dla wybranych relacjami. Można powiedzieć, że komplikuje tak do dziś, i to coraz bardziej, bo przecież medycyna wciąż się rozwija. Ale to nie jest tak, że epoki w historii świata następują po sobie. Ernst Cassirer (2017) twierdził, że po epoce myślenia magicznego nastąpiła epoka nauki, tymczasem wiele wskazuje na to, że się mylił: te epoki się na siebie nałożyły. I nadal nakładają, bo myślenie magiczne wciąż nam towarzyszy. I to jakby ostatnio coraz śmielej.

W poradnikach medycznych uderzające jest pomieszczenie ról. Na Poczcie Polskiej kupić można wielotomowe wydawnictwo pod tytułem *Apteka babuni*, które skonstruowane jest jak niektóre książki kucharskie, zbierające przepisy nadesłane przez czytelników. O ile jednak szkodliwość przepisu kulinarnego dla żołądków czytelników jest raczej znikoma, o tyle szkodliwość porad *quasi-medycznych* dla pacjentów chcących je zastosować może być już spora. Zawieszenie granicy między autorem a czytelnikiem, między aktorem a widzom, między profesjonalnym jurorem a jurorem-amatorem, głosującym za jakimś artystą za pomocą smsa — jest zjawiskiem dość powszechnym we współczesnej kulturze. Ta granica długo pozostawała świętością. Jej pęknięcie dobrze obrazuje nazwa programów telewizyjnych „reality show”. W gruncie rzeczy jest to oksymoron, logiczny błąd: bo albo coś należy do sfery rzeczywistości, albo do sfery spektaklu. Spektakl, którego uczestnikiem,

a nie tylko obserwatorem, jest widz — już nie jest spektaklem. A właściwie nie powinien być.

I znów — w telewizji, czy w ogóle: w sztuce, wydaje się to eksperymentem niegroźnym. Stawia jednak amatora w roli profesjonalisty. I tego amatora przekonuje, że świetnie sprawdza się w tej roli, że to nic trudnego, że wcale nie trzeba zdobywać wiedzy, doświadczenia i umiejętności. Chodzi o oglądalność, a przecież my jesteśmy próżni, raczej leniwi i wysoce narcystyczni, więc najbardziej lubimy oglądać samych siebie. Ponoć niegdyś człowiek był w stanie uwierzyć w swoje istnienie, kiedy zobaczył siebie w lustrze. A teraz wierzy, że istnieje, kiedy zobaczy siebie — albo przynajmniej efekt swoich działań czy decyzji — na ekranie telewizora.

Granicę między *episteme* i *doksa* ostatecznie zniósł Internet. To przecież przestrzeń doskonale demokratyczna, w której nie tyle czytamy, co ktoś — specjalista, profesjonalista — napisał, ile traktujemy to jako pretekst do własnego pisanie, np. komentarzy na forach. Co więcej, informacje i artykuły są publikowane w sieci także poza portalami informacyjnymi, nie podlegają więc żadnej naukowej czy faktograficznej weryfikacji. Sformułowanie: „to jest prawda, bo przeczytałem o tym w Internecie” jest z gruntu błędne. W Internecie jest prawdopodobnie więcej „argumentów” przeciwko szczepieniom dzieci, co za ich szczepieniem. Wiele więc wskazuje na to, że ludzkość niebawem wyginie — lub przynajmniej zostanie zdziiesiątkowana — właśnie za sprawą antyszczepionkowców.

I to jest dobry moment, by wrócić do *quasi*-medycznych poradników. Zawarte w nich porady — te nadesłane przez czytelników — zawsze oparte są przymiotnikiem „sprawdzone”, trochę jak w dyskursie reklamowym. Książki z serii *Apteka babuni* podzielone są na rozdziały, które strukturalnie przypominają nie tyle medyczny podręcznik, ile literaturę piękną. W rozdziałach tych ważną rolę odgrywać będą *exempla*, czyli opowiadania „z życia wzięte”, zastępujące naukowe argumenty za słusznością jakiejś terapii. Rozpoczynają się od przedstawienia wypadku lub dramatycznego początku choroby, po którym następuje próba skorzystania z pomocy medycyny, ale próba zawsze nieudana. Kolejnym krokiem jest dramatyczna ucieczka z rąk lekarzy-morderców. Wówczas na drodze naszych bohaterów pojawia się postać doskonale znana z bajek magicznych, poddanych niegdyś drobiazgowej analizie przez Władimira Proppa (2011): „staruszka” lub nawet „staruszka-żebraczka”. W bajkach dawała ona bohaterom magiczny przedmiot, tutaj natomiast daje przepis na uleczenie. Skutek jest łatwo do przewidzenia dla czytelników poradnika, natomiast zawsze wywołuje teatralne zdumienie wśród pozostałych postaci tych historii — także np. lekarzy. Tak czy owak, po niedługim czasie zawsze następuje całkowite wyleczenie chorego.

Mamy to więc kolejne pomieszenie porządków i pęknięcie kolejnej granicy: między nauką a literaturą, a więc między faktem a fikcją. Owszem, znak czasów, ale i wątplię, żeby to był postęp. To raczej regres do czasów przednaukowych, o których pisał Erich Fromm (2016). Czasów, w których jedynym dostępnym i uprawianym dyskursem był dyskurs literacki, a właściwie protoliteracki, bo mitologiczny. Ten

naukowy wymagał rozwoju cywilizacyjnego, postępu, w który już chyba mało kto wierzy.

\*

Co mają do tego poradniki? Moim zdaniem można je czytać jako dokumenty naszych czasów. Jako dowód zagubienia we współczesnej rzeczywistości, braku zaufania do rozumu, do nauki. Jako zapis pomieszania porządków *episteme* i *doksa*. Jako efekt pęknięcia granic między spektaklem a rzeczywistością, faktem i fikcją. I wreszcie jako substytut nadwątlonych relacji międzyludzkich. Wówczas — być może — owe poradniki udzielą nam rad niezamierzonych przez ich autorów. Dzięki nim — być może — uświadomimy sobie, w jakiej rzeczywistości żyjemy, kim są czytelnicy poradników, współobywatele naszego kraju i dlaczego tak a nie inaczej się zachowują. Być może dzięki krytycznemu przyglądaniu się poradnikom dojdziemy do wniosku, jak sobie radzić w czasach poradników.

I jak te czasy przetrwać.

### Bibliografia

- Cassirer, E. (2017). *Esej o człowieku. Wprowadzenie do filozofii ludzkiej kultury* (przeł. A. Staniewska). Warszawa: Wydawnictwo ALETHEIA.
- Foucault, M. (2000). *Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych* (przeł. T. Komen-dant, t. 1). Gdańsk: Słowo/obraz terytoria.
- Fromm, E. (2016). *Zapomniany język: wstęp do rozumienia snów, baśni i mitów* (przeł. K. Płaza). Kraków: Vis-à-vis Etiuda.
- Propp, W. (2011). *Morfologia bajki magicznej* (przeł. P. Rojek). Kraków: Zakład Wydawniczy „Nomos”.